

## Andrzej Marek Ostrowski

## część II z IV

Sygnatura notacji: **N1201**

Data urodzenia: **13.04.1938 r.**

Data nagrania: **13.10.2017 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 52 min, część III: 53 min,**

Format nagrania: **video**

**część IV: 61 min**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Andrzej Ostrowski:** W czasie całego powstania byłem bez rodziców. Była starsza, starsza pani, daleka kuzynka mojej babci, która się starała mną opiekować na tyle, na ile jej pozwalał wiek i sprawność fizyczna. Natomiast matka, która że jest już walka rozpoczęta. Nie wiem, czy wiedziała czy nie, czy nie wiedziała, że będzie wybuch powstania o 17.00, bo tym bardziej, że te wybuchy, wybuch był odraczony. W każdym razie rozpoczęła wędrówkę. Tak się złożyło, że miejsce, gdzie rozpoczęła wędrówkę było w pobliżu dzielnicy niemieckiej. Na ulicy..., w Alei Niepodległości był wielki szpital niemiecki. Aleja Niepodległości róg [ulicy] 6 sierpnia. Teraz już tam jest Nowowiejska, ale dawniej tak się nazywała ta ulica. W związku z tym zdecydowała się wędrować poprzez Pola Mokotowskie w kierunku placu Unii Lubelskiej. Musiała się tam jakoś przemykać. Zresztą w nocy prawdopodobnie to zrobiła i dotarła do Unii Lubelskiej i stamtąd chciała ulicą Marszałkowską przeć na północ, na Żoliborz. No to zajęło jej kilka dni, bo raz, że już zaczęły się... Te placówki, które trzymały określone rejony, placówki powstańcze wymagały dokumentów. Matka nie miała dokumentów powstańczych. No, w każdym razie często musiała poprzez odpowiedni komentarz uzyskiwać prawo przejścia przez jakąś tam barykadę, czy... I tak udało jej się dotrzeć do Starego Miasta, na Starym Mieście. Miała tam swój taki dom, z którego mogła obserwować dom na Alei Wojska. Ten dom został rozebrany. Ja po wojnie go tam odwiedzałem, ten dom. Ale z górnych pięter, tam, chyba z dachu, obserwowała to, bo to było w rękach powstańców jeszcze. Ten dom przy ulicy Długiej. No, w każdym razie. Nie, przy Miodowej, przepraszam nie Długiej. W każdym razie całe powstanie... Aha, próbowała przejść najpierw przez wiadukt nad torami kolejowymi Dworca Gdańskiego. No ale ludzie, którzy tam wyruszyli na te przejście, zginęli. W związku z tym się nie zdecydowała. Później chciała kanałami przejść pod torami Dworca Gdańskiego, ale w tym czasie, to już było chyba gdzieś koło 10 sierpnia, w tym czasie Niemcy już zablokowali ten burzowiec łączący Żoliborz tutaj ze Śródmieściem czy

tam ze Starówką, wrzucając tam worki z cementem i stalowe szyny. Poza tym jakieś pułapki zawieszono, także... Z kolei z innego źródła dowiedziałem się, że... Bo miałem takiego kolegę, zresztą [później] kapitan jachtowy Tymoteusz Duchowski, który był w czasie powstania przewodnikiem kanałowym, szczurem kanałowym. I on mi mówi, że właśnie szukali, bo oni na Żoliborzu stacjonowali, ta jego drużyna, on był harcerzem w 227 Drużynie Wodnej, drużynie harcerskiej. I oni, wchodząc tutaj przy ulicy Stołecznej i Krasieńskiego do kanałów, szukali innych połączeń. I znaleźli, ale to były bardzo niskie kanały, takie trzeciej kategorii po 90 cm wysokości, także... No, w każdym razie mama nie... Nie udało się mamie przejść kanałami. Matka do końca walk na Starym Mieście była w zgrupowaniu „Róg”, była łączniczką i podczas kiedy nastąpiła ewakuacja żołnierzy ze Starówki kanałami do Śródmieścia nie zdecydowała się wejść do kanału tylko ze swoim, ze swoim zwierzchnikiem wojskowym panem Sieroszewski i jeszcze jednym sanitariuszem z tego oddziału „Róg” postanowili zagrać *va bank* i [ulicą] Miodową pójść w kierunku, w kierunku [ulicy] Stawek. Na rogu tam przy, przy tym szpitalu, przy szpitalu... No w każdym razie stał tam czołg niemiecki i oni szli w jego stronę. W każdej chwili mógł przecież otworzyć ogień z KM-ów. W każdym razie w pewnym momencie otwiera się właz czołgowy i taki młody szwab wściekłym głosem mówi: „Gdzie wy tu idziecie?” Pan Sieroszewski doskonale znał język niemiecki i on mówi: „To jaki u was porządek panuje? Oficer, tam gdzieś przy Długiej, powiedział nam, że mamy iść w tę stronę”. Zablefował. No to on mówi: „Ach...”. Przyjął to do wiadomości i skierował ich w stronę Stawek i tam dołączyli do cywilnego..., cywilnej grupy mieszkańców, których tam formowano w kolumnę jakąś. I z tą kolumną trafiła mama do Pruszkowa, do Dulag 121 – Durch Lager 121. W każdym razie tam udało się jej zamaskować swój wiek. Wyglądała na starą i schorowaną osobę. Mało tego, pracownik RGO [Rady Głównej Opiekuńczej], który pomagał tam tej komisji kwalifikującej więźniów... On podniósł..., bo mierzono temperaturę, bo mama udawała chorą bardzo, i podniósł temperaturę jej do 39 stopni chyba, wsadzając ją [termometr] w szklankę z herbatą. W każdym razie nie została skierowana na roboty do Niemiec, tylko transport tych, tych warszawiaków, którzy mieli być gdzieś tam rozpuszczeni na południu Polski. No i jechała. Jechali tymi wagonami bydłowymi... Miejsowość Gościnną się nazywała, gdzie ten transport stanął i ich pędzono gdzieś. Był wieczór, deszcz i matka z tymi dwoma swoimi, swoimi towarzyszami uciekła z tego transportu. Te szczegóły wszystkie są spisane, bo to jest relacja mojej mamy, spisane. Ja mam to nagrane, tak że może ja nie będę teraz wchodził w te detale. Po prostu mama trafiła do pracy w takim majątku jako ogrodniczka tam zaczęła pracować, zresztą zgodnie ze swoimi, swoimi..., swoim wykształceniem. No i tam do.... Tam pracowała przez parę tygodni, ale w końcu... Ciągle szukała mnie i teraz doszła do wniosku, że żeby móc się poruszać po ciągle okupowanej przez Niemców Polsce i szukać mnie, to musi jakieś papiery zdobyć. Papiery, które... Bo warszawiacy, którzy nie mieli żadnych papierów, byli wyłapywani i..., szczególnie w okolicach Warszawy. W związku z tym dowiedziała się, że w Łowiczu jest przeniesiona Izba Rolnicza w Warszawie, ta w której pracowała. I tam się zgłosiła do pracy. No bardzo została przez kolegów tam, że tak powiem, przyjęta. Zwierzchnikiem był Niemiec, szwab jakiś, który był tam całym ich dyrektorem, może nawet i po krótkim czasie pracy prosiła go o przepustkę, żeby dał jej na poszukiwanie syna. Z tym, że szwab mówi:” Słuchaj. W obecnej sytuacji ty nie masz najmniejszych szans. Ja mogę ci tylko na 3 dni dać przepustkę”. No więc z wielkimi oporami wydał tę przepustkę na trzy dni i matka już w międzyczasie jakoś zdobyła trochę informacji, w którym kierunku z Żoliborza były wywożone transporty. Przez RGO w Pruszkowie, tam w Łowiczu. Wiem, że jakaś koleżanka jej w Pruszkowie była zatrudniona w Radzie Głównej Opiekuńczej i dała jej ten namiar, że gdzieś pod Krakowem są mieszkańcy Żoliborza osadzeni, że tak powiem, rozpuszczeni. No i to ja może teraz przejdę do swoich wspomnień. Czyli jest kapitulacja. Pamiętam rano pan Ponikowski, który był byłym wojskowym, radzi wszystkim paniom i dzieciom, żeby się

ubrały na szaro, czarno, żeby nikt nie wkładał jaskrawych kolorów, bo to jest, że tak powiem, gratka dla snajperów, że ktoś, kto jest, wyróżnia się w tle, jest dobrym celem do, powiedzmy... treningu strzeleckiego. To dobrze. pamiętam ten fakt, jak instruował kobiety i dzieci, które..., żeby były ubierane w takie nie rzucające się w oczy ubrania. I w pewnym momencie wrzaski słyszymy na klatce schodowej. No i tam ktoś taką łamaną polszczyzną mówi: „Macie minutę czasu na wyjście, potem będziemy rzucać granaty”. No i teraz tak. Jest taka sytuacja, że nie bardzo się ludzie garną, kto ma pierwszy wyjść. No i tenże pan Ponikowski utykając idzie pierwszy, za nim inni suną. Na schodach stoją z MP [pistoletami maszynowymi], stoją deutsche Kozaken, którzy stacjonowali w Instytucie Chemii Przemysłowej na Placu Grunwaldzkim. Dlaczego pamiętam to dokładnie, bo mieli kubanki [czapki] z czerwonym denkiem i białym krzyżem. Na, to... Od razu to zauważyłem. To znaczy jest oficer niemiecki, który nimi dyryguje, natomiast ci, powiedzmy sobie wyganiacze uzbrojeni w granaty, w te MP nas wypędzają. I wiem, że ja byłem chyba w pierwszej grupie wychodzących. Bo zaraz, bo ja jeszcze... Aha, bo pan Ponikowski miał syna w moim wieku i myśmy się przyjaźnili. Ja, ja dlatego tak, tak, z tą rodziną się, że tak powiem, blisko trzymałem. I teraz jest sytuacja tego typu, że kierują nas na tyły domu naszego. Tam były poprzecinane siatki, tak że przez te ogrody myśmy chodzili po wodę, tak że to było wszystko drożne. I przede mną chyba, przede mną idzie Bolek, to jest syn Kiliańskiego, ten młodszy. On chciał wyjść właśnie z cywilami razem, pomimo tego, że był zaprzysiężony w AK, i wiem, że niósł jakiś tobołek przed sobą. I teraz jak się znalazł pomiędzy domami od strony, od strony baraków, przedwojennych baraków dla bezrobotnych, które były przy torach Dworca Gdańskiego, one w czasie powstania zostały spalone przez Niemców. Natomiast tam były stanowiska, stanowiska ogniowe karabinów maszynowych. I w momencie, kiedy się zaczęli przesuwac, sylwetki przesuwac między domami, to poszła seria i ten Bolek dostał postrzał. I to były pociski dum-dum. Tak że całe trzewia, znaczy brzuch został rozerwany, przedramię urwane i on błagał, żeby dobić, żeby go dobić, żeby nie zostawiać go Niemcom, bo mówi i tak mnie dobiją. No ale nikt z nas wogóle... Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby go dobijać. Ale to był straszny szok dla nas. Wiem, że wszyscy rzucili się na ziemię i zaczęli się czołgać, bo z tyłu nas poganiali ci, ci pacholki, te kolaborujące z Niemcami. No i proszę sobie wyobrazić, przeczłógaliśy się przez ten teren i wtedy zgubiłem, zgubiłem taką saszetkę, taką walizeczkę, taki neserek, powiedzmy sobie, jak to nosili lekarze czy tam pielęgniarki. W każdym razie tam mi mama przez całą okupację mówiła, że to jest nasza przyszłość, że tam były jakieś precjoza, ale ja nawet nie wiedziałem, co jest. Co najciekawsze, w czasie jeszcze okupacji, kiedy były naloty, to moim zadaniem było ubrać się szybko po ciemku i z tą walizeczkę zbiec do piwnicy, a mama w tym czasie otwierała okna, żeby podmuchy szyb nie wybiły. W każdym razie ja w tym momencie straciłem kontakt z tą walizeczkę i na ulicy Felińskiego formowano nas w kolumnę. Później popędzono nas w kierunku, w kierunku wiaduktu na ulicy Powązkowskiej, Powązkowską dotarliśmy do ulicy Wolskiej, Powązkowską, Okopową do ulicy Wolskiej, i w kościele, w kościele św. Wojciecha, to jest w tej chwili Wolska 92. nocleg był, bo to już było, już noc..., zmierzch się rozpoczął, w związku z czym na nocleg stanęliśmy. No i tam w tym kościele się dantejskie sceny zaczęły rozgrywać, bo... aha, pędzili nas właśnie kolaborujący. Nie te deutsche Kozaken, tylko jakaś inna formacja. Nie wiem, czy Ukraińcy, czy Łotysze. Czort wie. No w każdym razie... Wiem, że wyrwali z tej kolumny młode dziewczyny, zaciągali gdzieś w krzaki, tam gwałcili i zabijali tą dziewczynę. Tak? Tak, że wszystkie młode dziewczyny szły w środku kolumny. Myśmy chyba dwunastkami szli. W każdym razie wiem, że ta kolumna miała dość szeroki..., no tak jak jezdnia pozwalała, no, taki wymiar szerokości. No i tak dotarliśmy do tego kościoła i tam się zaczęły dantejskie sceny dziać, ponieważ ci kolaboranci niemieccy dostali widocznie rozkaz wyszukiwania młodych ludzi, którzy mogli być powstańcami. I Wyszukiwali w ten sposób, że patrzyli, kto ma opaloną twarz. Bo my te szczury piwniczne byliśmy bladzi, a tych wszystkich opalonych

wyciągali i rozstrzelali pod murem, bo nie wolno było powstańcom iść z cywilnymi, z cywilną ludnością. Takie było zarządzenie szwabskie. No w każdym razie to pamiętam, bo ci młodzi ludzie się chowali za ołtarzem, pod ławami. Dantejskie sceny się tam działy, no i od razu, natychmiast rozstrzelali. Słyszeliśmy te serie z broni maszynowej. Następnego dnia popędzono nas na Dworzec Zachodni, gdzie takimi wagonami bez dachów, takimi węglarkami zawieziono nas do Pruszkowa. I tam, z tego co pamiętam, to chyba cztery dni byliśmy w tym Pruszkowie. Tam też były paskudne warunki, bo przede wszystkim nie było wody, nie było toalet. Myśmy byli w takiej olbrzymiej hali remontowej, to były zakłady naprawcze wagonów kolejowych. Były takie rowy, nie rowy, a kanały, kanały rewizyjne, gdzie wjeżdżał wagon i tam od spodu go sprawdzano. No i w tych w tych kanałach się ludzie załatwiali. Smród, brud, no i wszy, i inne przekleństwa. W każdym razie z tego co zapamiętałam, był wielki problem z uzyskaniem jakiegoś naczynia na to, żeby zupę, którą RGO tam..., bo Niemcy w ogóle zaopatrzenia żywnościowego nie nie zapewnili tym tym wypędzonych z Warszawy, tylko RGO poprzez swoje, że tak powiem, kontakty z AK, wiem, że tam w okolicach Pruszkowa, Brwinowie, Podkowy Leśnej, te oddziały leśne akowskie organizowały zbiórki żywności od rolników i kierowali uzyskaną żywność do obozu poprzez RGO. No i pamiętam, że tam były jakieś zupy takie, zupa i kawa czarna. To pamiętam. A największym problemem było naczynie. Niektórzy w nocnikach, które mieli z sobą, jedli te zupy. No nam się udało jakiś klosz z lampy zdobyć i puszkę jakąś. No w każdym razie to w ogóle było... No i odbywała się selekcja tych, tych więźniów. Stało trzech takich oficerów gestapo chyba, no bo w czarnych mundurach byli, i kierowali.... Szli, szła grupa, powiedzmy sobie tych więźniów i oni na lewo, prawo, w trzech kierunkach kierowali. Tych, których ocenili na sprawnych, do pracy, na wywózkę do Rzeszy. Tych, których mogli podejrzewać, że byli akowcami, to do Oświęcimia, no a trzecia grupa, to w głąb Polski rozwożeni byli. No ja trafiłem z tą opiekunką do tej trzeciej grupy. Wiem, że wieziono nas takimi wagonami już z dachem, tylko że zakratowane były okienka. No i tak wieziono. No bardzo długo nas wieziono. W każdym razie wiem, że za pierwszym razem, jak nas wieziono, to chyba we Włochach rzucali nam chleb ludzie z peronu. No i to, to... był pierwszy chleb od powiedzmy sobie dwóch miesięcy. No i wiem, że strasznie byliśmy słoczeni w tym wagonie. Później wieczorem się otwierają te drzwi tam, dotarliśmy, to myślę, że jechaliśmy jakieś 24 godziny albo i więcej nawet, bo tam staliśmy na bocznicach. Tam też stanęliśmy na jakiejś boczniczy, ale myśleliśmy, że to jest chwilowy postój, ale tam nas zaczęli wypędzać z tego wagonu i chyba jakieś lokalne władze, nie wiem, czy sołtys miejscowy, czy coś, w każdym razie zaczął przydzielać do poszczególnych gospodarstw. No i mnie się udało trafić do takiego majątku, majątku, którego zarządcą był Polak, ale nad nim był jeszcze taki trojhender. niemiecki. Cała produkcja żywności musiała być pilnowana przez Niemców. I on miał dwóch synów. No i mówi: „Jak on nie ma rodziców, to to ja go usynowię”. No i mnie wziął z tą panią, która... No pamiętam, że tam nas najpierw wykąpali, bo byliśmy zawszeni, brudni i śmierdzący. Wyobrażam sobie, jak to było, bo przecież przez całe powstanie właściwie się człowiek nie mył. Albo tylko częściowo. No, w każdym razie bardzo się dobrze mną zaopiekował ten człowiek. Nie pamiętam jego nazwiska. Wiem tylko, że tych dwóch chłopaków było starszych ode mnie. No ale ja jako warszawiak miałem wśród nich mir. Dostałem od tego ojca ich buty z cholewami. Po którymś z nich – prawdopodobnie wyrósł. No i byłem tak szczęśliwy, bo wiedziałem, że oficerki to jest największy szpan okupacyjno-wojenny. No i w tych, w tych ofierkach pamiętam, że defilowałem i tak do..., tam byłem chyba do końca listopada. I w listopadzie matka, tak jak mówiłem, dostała trzy dni przepustkę, na trzy dni. Pojechała w rejon tego Jędrzejowa, bo już miała dość dokładne informacje z RGO w Pruszkowie, że tam Żoliborz został rozwiedziony, ale nie wiedziała, czy nie wywieźli mnie na przykład do Niemiec, bo chętnie wywożono takich młodzieńców, żeby później ich zgermaniować. No i proszę sobie wyobrazić, tam dotarła właśnie do jakiegoś..., do placówki RGO w Ję-

drzejowie. No ale tam rozkładają ręce, mówi: „Tutaj są tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi wywiezionych. My jeszcze nie mamy dokładnych list. No i to jest szukanie igły w stogu siana”. I matka już taka przynębiona. A to już chyba był drugi, koniec drugiego dnia tej przepustki, bo takim urlopem, pociągami, takim wojskowym nawet jechała, chyba mając tę przepustkę niemiecką. W każdym razie... Już rozwieszała tam wszędzie na bramach, na płotach, na drzewach kartki z prośbą o informację, czy taki i taki gdzieś tutaj może jest. No bez szans. No i proszę sobie wyobrazić, już szła w kierunku dworca, żeby zdążyć wrócić w terminie. I... Jakaś kobieta..., szła z kobietą z RGO i w pewnym momencie ta kobieta mówi: „O, tutaj idzie nasz inspektor, wraca z terenu”. No i mama do niego się zwraca. [On] mówi: „Proszę panią, jest minimalna szansa. No ja tam mam wycinek tylko tych informacji, których... No byłem tam w tej łowini... No podam taki przykład, że przypadkowo spotkałem syna mojego, mojego kolegi Edwarda”. No i matka... A to był mój ojciec [Edward], to był przyjaciel mojego ojca. No i matka od razu tam przyjechała. Ja nie poznałem matki. No i później zostałem przewieziony..., pojechaliśmy do Łowicza, do tej Izby Rolniczej, tam była matka skoszarowana. No z tym, że ja tam nie mogłem mieszkać, tak, że trzeba było wynająć gdzieś jakiś pokój czy jakieś lokum dla mnie i dla tej opiekunki mojej. No i tam była niesympatyczna reakcja jednego z chłopów, którzy... Bogaty chłop, powiedział: „Chcieliście powstania, no to mata. Płaćta albo jazda stąd”. Wczesnym rankiem musieliśmy już wyjeżdżać od razu. Tak że w nocy pakowaliśmy się i pociąg był wczesnym, wczesnym ranem, żeby zdążyć w terminie ważności przepustki, którą dostała od tego niemieckiego zwierzchnika w Izbie Rolniczej. Pamiętam tę jazdę pociągami. Taki szczególnie mi się tutaj przypomina. Staliśmy. Było tłoczno w tym pociągu. I w pewnym momencie mi się bardzo zachciało siusiu i tu widziałem wszędzie te mundury niemieckie. No nie wiedziałem, co zrobić w tej sytuacji, bo to były takie przedziały, przedziały... To nie były takie pulmanowskie wagony, tylko na dwie strony były drzwi wyjściowe z każdego przedziału. I pamiętam, że jakoś tak powolutku podszedłem właśnie do tych drzwi bocznych i tam przez jakąś szparę się załatwiałem. No bałem się, że mnie zastrzelą ci Niemcy. No ale z kolei nie chciałem zmoczyć spodni. Taki mój osobisty..., osobiste przeżycie z tego powrotu. Pod Łowiczem [matka] znalazła jakąś tam znajomą swoją. Pani Jankowska się nazywała. I u niej w jej mieszkaniu było już kilka, kilkanaście osób z Warszawy i tam żeśmy na jakimś skrawku ziemi, podłogi koczowali z tą panią Włoczewską, która się mną opiekowała. I proszę sobie wyobrazić, że po pewnym czasie to jeszcze Niemcy, że tak powiem, byli... Wieczorem przychodzi mój brat cioteczny, który był wywieziony do Hanoweru. Spotkał się tam z moimi dziadkami Julią i Czesławem Wiśniewskim w miejscowości Diephol spod Hanoweru. I on tam pracował jako pomocnik maszynisty i uciekł stamtąd i jakimś towarowym pociągami dotarł do Łowicza. Wiedział, że my jesteśmy w Łowiczu, że mama moja jest w Łowiczu, i tam nas odnalazł. Ale było tak ciasno, że ta pani Jankowska nie miała go gdzie położyć. I on pamiętam, że pierwszą noc to spędził z nogami na piecu, bo tylko tylko tułów się mieścił. On się nazywał Tolek, czyli Antoni Radwański, i był tam z bratem swoim Zdzisławem Radwańskim, który też pracował na kolei. Oni byli mieszkańcami Ostrowi Mazowieckiej i zostali aresztowani i wywiezieni na roboty do... właśnie tam przez przypadek, w to samo miejsce, gdzie byli moi dziadkowie. I to pamiętam, ten jego przyjazd. No i tam był bardzo krótko, bo on nie miał żadnych dokumentów z sobą, tak że musiał się jakoś gdzieś tam zakonspirować, bo to jeszcze byli Niemcy. I później pamiętam wkroczenie Armii Czerwonej. To był nieprawdopodobny, niesamowicie egzotyczny widok. W związku z tym, że to miejsce było poza miastem, to było nie-daleko mostu na Bzurze. Najpierw czołgi sowieckie dopadły saperów niemieckich, którzy mieli wysadzić most na Bzurze no i ich tam rozjechały dosłownie. Pozabijali ich i wiem, że leżeli przez długi czas. To były silne, silne mrozy były. Tak że część była opartych o drzewa. W każdym razie to, to pamiętam. A później, proszę sobie wyobrazić, przez pola ruszyły zagony kawalerii, kawalerii na kucykach takich niskich, na koniach, niskich, owłosionych jak, jak niedźwiadki.

Jeźdźcy byli skośnoocy i to pamiętam, że jedni mieli skośne oczy w jedną stronę, drudzy w drugą. W każdym razie... I to całe wojsko szło, nie szło drogami, tylko przez pola. Zatrzymali się pod Łowiczem, niedaleko, na polach. Ogniska palili, wyprowadzali krowy, świnie chyba też, z gospodarstw tych wiejskich, polskich gospodarzy. No zabijali to i tam w tych ogniskach, przy tych ogniskach piekli, spali w śniegu z tymi końmi razem. Konie też były łbami w stronę ogniska zwrócone, to widziałem doskonale z podwórka naszego. I proszę sobie wyobrazić, że zaopatrzenie w amunicję było dowożone na saniach ciągniętych przez psy. I to były takie kolumny dwóch, trzech sań. I one podjeżdżały, zostawiały tam te skrzynki z amunicją, no w każdym razie, i jechały dalej. A w ogóle jak ci ci Azjaci, bo tak ich trzeba nazywać, Azjaci wpadali gdzieś do jakiegoś gospodarstwa, tylko pytali, czy: „Girmańców nie?”, czy tam Niemców, czy nie ma Niemców, i „którędy do Berlina”. I tak zapamiętałem te oddziały. Ich dowódcy byli, byli w mundurach, w mundurach, powiedzmy... To byli biali, już nie... I jechali na koniach wyższych, że tak powiem. Ale ta, ta... Trzon tej armii azjatyckiej to był właśnie na tych bahmatach, takich, no, oszronionych, pokrytych taką sierścią długą. W każdym razie wyposażenie ich składało się tylko z takich..., pamiętam takiego worka brezentowego zawiązanego na sznurki, i tam mieli pociski do pepeszy [pistolet PPSz]i nic więcej. Żywność zdobywali w terenie. No i tak, tak, ta armia sunęła. No, czołgi oczywiście poruszały się innymi traktami, a ci przez pola na przefaj utrzymywali tylko jakiś kierunek, prawdopodobnie kompasowy, który ich kierował na zachód, do Berlina. No to tak, takie szczegóły pamiętam z tamtego okresu. I tam w momencie, kiedy właśnie przyszli Sowietci, to mama przestała pracować tam w tej Izbie Rolniczej i przenieśliśmy się do Ożarowa, do znajomych – państwa [Flasieur?]. Pani Flasieur była bardzo aktywną pracownicą RGO, i w czasie, kiedy opuszczali powstańcy warszawscy Warszawę, przechodzili przez Ożarów i tam się zatrzymywali w tej fabryce kabli, to ona z całą grupą tych pracownic RGO żywność tam im donosiła, odbierała listy jakieś od nich itd. I matka, będąc tam w Ożarowie, spotkała rotmistrza Pileckiego, który z grupą, z grupą powstańców przechodził przez Ożarów i umówił się z moją matką, że ona doniesie mu cywilne ubranie, bo chciał uciec. Z tym, że następnego dnia, jak matka przyszła tam w fartuchu białym z opaską Czerwonego Krzyża, z tym ubraniem, to już ich wywieźli do Łambinowic pod Opolem. Tak, że także nie zdążyła mu przekazać tego ubrania. Także taki fragment jeszcze z tego, z tego spotkania. Matka mi to przekazała, tę wiadomość. No i później mama zaczęła pracować w takiej szkole rolniczej pod Sochaczewem, w Żdżarowie. No i tam była instruktorką. Młodzi, młodzi rolnicy byli szkoleni powiedzmy pod kątem tych racjonalnych upraw. Mama m.in. prowadziła WF, z nimi też, oprócz tej, tej wiedzy, takiej fachowej, to, to, zajęcia, gimnastykę, to się gimnastyka nazywała. No i ja tam chodziłem, zacząłem chodzić do szkoły. Chodziłem, pamiętam, przez takie pola chodziłem, pola podmokłe, takie tam... Kanał taki był, który trzeba było przejść po mostku. I w jednym z tych... Do szkoły miałem parę kilometrów. Ja dokładnie nie wiem, ile to mogło być. No w każdym razie chodziłem do tej szkoły, to do pierwszej klasy chodziłem. Czy do drugiej już nawet? Do pierwszej. Przepraszam. Zaraz, zaraz, oj, przeskoczyłem. Przeskoczyłem, bo przepraszam. Z Ożarowa, z Ożarowa mama... W związku z tym, że ja zapadłem na zdrowiu, mama wywiozła mnie do Ostrowi Mazowieckiej, gdzie moja babcia od strony ojca mieszkała, miała takie gospodarstwo ogrodnicze, na odżywienie, jak to się powie. No i tam ciężko chorowałem. Wiem, że nawet miejscowy lekarz w Ostrowi Mazowieckiej rozkładał ręce. Miałem jakieś takie płucne zagrożenie. On rozkładał ręce. Mówi: „Nie ma leków tutaj takich, które...” I mama mnie przewiozła z Ostrowi jakimś okazijnym samochodem do Warszawy, na [ulicę] Kopernika [tam był szpital dziecięcy], do doktora Chrapowickiego. Jak dziś pamiętam jego nazwisko, i on mnie przyjmował w łazience tego szpitala, bo on częściowo był rozwalony, na drzwiach od..., na drzwiach mnie tam badał ten ten lekarz, i zapisał jakieś lekarstwo. Nie wiem, czy to nie była penicylina, bo to mogli już wtedy dostać. To był 1946 rok, chyba. I tam całe lato chorowałem ciężko, ale ten lek mnie

jakoś wyciągnął z tego, bo silną gorączkę miałem bardzo. Wyciągnął mnie z tego stanu i jak już się tylko lepiej poczułem, to mama przeszła do pracy w Izbie Rolniczej w Ożarowie. Przepraszam, nie w Ożarowie, a w Żdżarowie, w Żdżarowie pod Sochaczewem. I tam przyjechali najpierw dziadkowie z właśnie z tego Diepholz spod Hanoweru. No i tam wiem, że to było strasznie radosne spotkanie. I parę tygodni minęło i przyjechał też ojciec, bo wiedział, że tam jesteśmy wszyscy. Tam już nas była czwórka z naszej rodziny. No i ojciec przyjechał, którego nie poznałem, bo ja ojca nie znałem, bo jak wyjeżdżałem, wyjeżdżał ojciec, to tam miałem..., nie pamiętałem w każdym razie. Ze zdjęć tylko. Przyjechał w mundurze, w battle-dresie. Pamiętam, że czekoladę miał w takich pudełkach metalowych, taką grubą czekoladę gorzką. Do dziś taką lubię. No co jeszcze? Puszki takie miał. Konserwy mięsne to, bo..., przywiózł cały chlebak tego wszystkiego. No i tam dość była sytuacja tego typu, że mama chciała wracać do Warszawy, zorientować się... Czy nawet już zrobiła rekonesans wcześniej. To jeszcze chyba jak w Ożarowie byliśmy, to mama przyjechała tutaj na Aleję Wojska Polskiego, do naszego mieszkania, i okazało się, że tam są już lokatorzy. To byli lokatorzy z tych domów, przedwojennych domów dla bezrobotnych. No i nie pozwolono nic ruszać tam mamie. To bodajże już był jakiś ormowiec [ORMO] nawet bo powiedział: „Jak suko jeszcze raz się tutaj pojawisz, to nie wyjdiesz stąd żywa”. W każdym razie tylko parę zdjęć tam mama zebrała z podłogi, bo były drzwi wywalone tam. W każdym razie tam mieszkali ci, ci nowi lokatorzy. Tak że mieszkanie było nieosiągalne w tamtych warunkach. Wiem, że później, jak ojciec wrócił, to udało mu się wyegzekwować od tych nowych lokatorów biurko i szafę, która do dzisiaj jest pamiątkową szafą z tamtego mieszkania. No, ojciec był człowiekiem no..., bezkompromisowym, tak że strachy to nie dla niego były, takie gadanie że: „Jak jeszcze raz tu się pojawisz...” czy coś... Z tego co wiem, to chyba nawet tamtych przestraszył, że mogą o głowę go skrócić tamtego, następnego, tego... No, ale to jest nieważne. W każdym razie rodzice szukali mieszkania w Warszawie. Udało im się znaleźć przez jakieś znajomości jeden pokój na Alei Niepodległości, róg Filtrowej, Aleja 225, Aleje Niepodległości. Na czwartym piętrze, czteropokojowe mieszkanie, w każdym pokoju inna rodzina. No i tam oni początkowo mieszkali, a ja chodziłem do szkoły..., a bo dziadkowie z kolei przenieśli się do Szymanowa, do Szymanowa, gdzie dziadek został zawiadowcą stacji, bo był specjalistą od tych rzeczy. Przed wojną był zawiadowcą stacji w Legionowie. Ja tam zacząłem chodzić do szkoły. Mieszkaliśmy w Paprotni, a do szkoły chodziłem też daleko. Pamiętam, że trzeba było tam przez..., szosą taką iść dość daleko, tak że często łapałem, jak zima była, jakieś samochody ciężarowe, się czepiałem i na przejeździe zaskakiwałem. No ale to, to jest inna sprawa już. No w każdym razie tu rodzice się, że tak powiem, starali zagospodarować. Ojciec zaczął pracować w Warszawskiej Spółdzielni Ogrodniczej. Prowadził na ulicy, na ulicy. Pięknej, na Pięknej przy Lwowskiej sklep taki WSO, Warszawskiej Spółdzielni [Ogrodniczej]. Sklep, gdzie jabłka były sprzedawane, taką hurtownie jabłek, o. Miał jeszcze sprzed wojny znajomości w okolicach Warszawy, bo zakładał sady, tak że dobre, dobre odmiany jabłek sprowadzał, i ten sklep, dobrze, dobrze... Z tym, że to nie był prywatny sklep ojca, tylko był pracownikiem Warszawskiej Spółdzielni Ogrodniczej. No i pamiętam, że zawsze doskonałe jabłka były w domu u nas. Taki mi się szczegóły z tego okresu..., ale to już jak, jak mnie sprowadzili do Warszawy rodzice. Zaczęłem z nimi mieszkać tam na Alei Wojsk..., Alei Niepodległości. Pojechaliliśmy ciężarowym samochodem, taki Opel Blitz poniemiecki, jeszcze na holzgas [gaz drzewny]. Pojechaliliśmy w ramach tej spółdzielni ogrodniczej do Zegrzynka, do znajomego, który miał tutaj dość duży sad. Pan Piwiński prowadził tu plantację jabłoni. Pojechaliliśmy po towar, jak to ojciec mówił. Cały samochód załadowany tym towarem, a przeprawa w Zegrzu Południowym była promowa, bo most był wysadzony. No i pamiętam, że wjeżdżamy na taki prom. Bardzo prymitywny, taka wanna właściwie drewniana, tak że ten samochód stanowił duże obciążenie dla tego promu. No i na pych ci, ci przewoźnicy przeprawiają się na drugą stronę

Bugo-Narwi. I w pewnym momencie ten, ten Opel Blitz z towarem zaczął się przetaczać w kierunku dziobu tego promu i przegłębiać dziób. No i dopiero któryś z tych przewoźników zablokował go wiosem pod koło [je] podłożywszy. Jakżesz ojciec wsiadł na tego kierowcę! Jej! Po raz pierwszy słyszałem taką „wiązaną” kawaleryjską, że tak powiem. No i... No bo mógł zatopić ten prom w bardzo prosty sposób, bo rzeczywiście ten samochód był na granicy jego wyporu, tego pływańca. No, w każdym razie to taki mi się szczegół utrwalił w pamięci, to... No, chodziłem do szkoły, tutaj też, na ulicę Raszyńską dojeżdżałem, tam szkoła numer 16. Ciągłe byliśmy bardzo taką młodzieżą, że tak powiem, kreatywną. W związku z tym, że nie było zabawek, to trzeba było sobie jakieś zabawki robić. Pierwszą zabawką, którą skonstruowaliśmy, ja miałem tam kolegów z podwórka i z sąsiednich ulic, to były hulajnogi. Najpierw trzeba było zdobyć łożyska do tych hulajnóg, to zaprzyjaźniliśmy się z warsztatem samochodowym, gdzie [za] posprzątanie tego, powiedzmy sobie warsztatu dostawaliśmy jedno łożysko, duże jakieś, no i jedno małe na tylne kółko. Później trzeba było gdzieś deski zdobyć. Między innymi tam na Nowogrodzkiej, też żeśmy chodzili, szukając jakichś miejsc. W każdym razie zrobiliśmy sobie te hulajnogi i były ciągle wyścigi. Na ulicy Langiewicza żeśmy mieli taką..., dobry asfalt był taki gładki, to robiliśmy wyścigi na tych hulajnogach, a w zimie trzeba było łyżwy sobie zrobić. Zrobiliśmy sobie łyżwy drewniane podkute drutem. W związku z tym, że w zimie w Warszawie nie stosowano żadnych środków roztopiających śnieg, to samochody ubijały bardzo mocno powierzchnie śnieżną, tak że na tych pseudo łyżwach można było nieźle się ślizgać. A najlepiej się jechało za samochodami. One wolno dość jeździły, bo..., w każdym razie czepiali się tych samochodów. No i czasem jak wjechaliśmy na taką kratkę ściekową, gdzie nie było śniegu, no to łyżwy zostawały, my leżeliśmy, a rękawiczki jedna lub dwie jechały na zderzaku, tak że ciągle mi ginęły rękawiczki. Mama nie wiedziała jak temu zaradzić, bo nie wiedziała, w jaki sposób one mi przepadają. No to takie były dziecięce zabawy. No w każdym razie byliśmy ciągle... A, w związku z tym, że było ciasne mieszkanie bardzo. Już wtedy urodził mi się brat, o dziewięć lat młodszy. Janek. No to..., był krzykliwym dzieckiem, bo matka po takich przejściach na pewno mu ten system nerwowy bardziej nadwyreżony przekazała. W związku z tym ja całym dniami spędzałem czas na podwórku i na ulicy.